

Gała moja ocena

Na początku jej ostatniej minuty było, jak na początku każdej ostatniej minuty kogokolwiek. Zimno. Więc ostatnia pani na tej ławce objęła się, pewnie poczuła zmrożone mrówki na sercu. Sama do siebie się przytuliła, bo niby kto miał ją przytulić? Koleżanka? Może – ale która? Jeszcze parę ostatnich minut temu było ich pięć, okrutnie się nienawidziły, żyć bez siebie nie mogły... Zwyczajne dzieje. Owszem, jeszcze parę ostatnich minut temu tak było, tyle że teraz ławka jest prawie pusta. A za minutę, za naprawdę ostatnią minutę, będzie pusta ściśle. Zatem – która z koleżanek, która i jakim cudem objęła ma to, co tutaj zostało? Przecież wieczność się do nas nie przytula. Przecież tamta strona, kompletnie naszą stroną znudzona, nie ma dla nas rąk, nie ma do nas siły. Samotna pani wie o tym, więc sama do siebie się tuli. Oczami otwartymi tak mocno, że z pewnością nie ona je zamknie, coś jeszcze próbuje dojrzeć w świetle, który obok jak zwykle obojętnie buczy, skrzeczy, świeci, wyje, słowem – żyje. Aż wreszcie na końcu ostatniej minuty ciemność skromnie zapuka do oka ostatniej pani na ławce. Zapuka i zostanie przyjęta. To też są zwyczajne dzieje...

Już chciałem przejść na poziom słowa *teatr*. Chciałem mówić o *spektaklu*, o tym, że Alicja Kobielska w roli Very, zwłaszcza w tej ostatniej scenie przedstawienia jest profesjonalnie bolesna. Chciałem dalej krokiem *fachowości*, w stylu jakiegoś raka *recenzenckiego*, przejść przez całość, rzetelnie i obiektywnie zanalizować scenografię, kostiumy, rolę, rekwizyty, zbać funkcję muzyki, myśl przewodnią reżyserii, wreszcie chciałem podzielić się ze światem garścią *refleksji* na temat ogólnego, *humanistycznego* przesłania spektaklu „Najstarsza profesja” oraz kilkoma odkryciami na niwie *spotecznej funkcji teatru w dzisiejszych czasach* pragnąłem zakończyć. Tak jest, słowo *teatr* już lizało stalówkę, już owijałem się bezcieleśnym woalem *znawstwa*, ale, chwalić Boga, słodki demon amatorstwa znów wziął mnie w swoje posiadanie, jestem uratowany. Znów się nie znam.

Co to znaczy znać się na teatrze? Czy teatr od tego jest, by mówić o teatrze? I co znaczy znać się w tym konkretnym przypadku? Po wierzchu, po naskórku fabuły idąc, „Najstarsza profesja” to rzecz o pięciu fundamentalnie zębem czasu tkniętych „córach Koryntu”, które gdzieś z boku buczącego świata, na ławce na tyłach Nowego Jorku już od 40, a nawet 50 lat gospodarują swymi ciałami i czasem. Owszem, można



się na tym znać. Można być smakoszem, wirtuozem, konserwerem i fanem tego, że po ludzku sprawę ujmę, „pokątnego dymania”. I gdyby w sztuce Pauli Vogel wyłącznie o prawdziwy smak „tych spraw” szło – na prawdziwym smaku „tych spraw” piszący nie tylko może, ale nawet konieczne powinien się znać. Tyle że w sztuce Vogel ponure kwestie „cichodajstwa” – to tylko detal, pretekst, kruchy punkt wyjścia. U Vogel najstarsza profesja jest w istocie najstarszą profesją każdego. Po dnie idzie tutaj ciemny prąd, za fasadą słów o życiu, picciu, jedzeniu, przeszłości, teraźniejszości, przyszłości – wznaga się pochód zmrożonych mrówek. Wiekowe panie w lot to wyczuwają, siedzą, jakby czekały w kolejce, i co i raz któraś znika, nie śmie odmówić skromnie pukającej do oka ciemności. Najstarsza profesja to umieranie. Na tyłach nieusuwalnie i ciepło buczącego światła ustawionej ławce jest coraz puszej. I coraz zimniej.

Jak się na tym sensownie znać? Przecież wciąż żyję, więc co mogę wiedzieć o ostatniej minucie? Wiem tylko, że pachnie ona pleśnią i octem. Gdy najważniejsza moja kobieta wchodziła w swą ostatnią minutę – byłem przy niej. Jak to się mówi – dyżurowałem. Czytałem „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla” Tomasza Manna, czułem, jak swąd pleśni i octu nieuchronnie kamienieje, czułem zapach wieczności. Ona nie ma dla nas rąk, nigdy nie obejmie. Ona ma dla nas wilgotny smród, który rozsada mózg i serce. Tyle wiem o końcu. Wiem wszystko, nie wiem nic. Nie znam się. Jestem kompletnym amatorem, jak każdy. Ale, jak każdemu – i mnie się uda, gdy przyjdzie wiadoma minuta.

Życie Feliksa Krulla nacechowane było szczególnie intensywną iluzorycznością... Dokładnie to lub coś podobnego przeczytałem, gdy ostatnia minuta mojej najistotniejszej kobiety dobiegła końca. Na łożku leżała kompletna cisza, w rękach zostało zdanie o iluzoryczności, było zimno jak w psiarni. I dokładnie to – smak naszej wrodzonej iluzoryczności – doszło do mnie ze sceny, więc

niby jak, jak i właściwie po co miałbym wchodzić w dyskusje fachowe, tyżące plusów i minusów reżyserskich, aktorskich bądź inscenizacyjnych. Czasem w teatrze zdarzają się przedstawienia poza dobrem i złem, spektakle jak Proustowska magdalenka – coś otwierają, przeszłość przyprawdzają, działają obok smakoszoństwa, ponad, poza albo pod teatralnością. I niech was Pan Bóg broni myśleć, że ja tym skrajnie intymnym wspomnieniem ostatniej minuty mojej mamy chcę niniejszym przeciw czemuś albo za czymś wystąpić. Nie jestem ani za, ani przeciw. Niczego od was nie chcę, nie namawiam ani na półście do Bagateli, ani na niepójście. I nie jest tak, że uciekam od oceny. Mnie ocena zwyczajnie nie interesuje. Ścisłej mówiąc – bardzo mnie interesuje, tylko że ona się u mnie nie na poziomie uniwersyteckim rozkłada.

Powiem więcej. Mam pewnością, że Januszowi Szydlowskiemu nieźle się za to przedstawienie oberwie. Ogólnie – za „przesterowanie” całości. Za nazbyt papuzią jakość kostiumów; za aktorstwo Alicji Kobielskiej, Mai Zajacówny-Radwan, Zofii Kalińskiej, Geny Wydrych i Haliny Gryglaszewskiej, które czasem nazbyt widocznie przechylają się w stronę *buffo*; za momentami usypiający rytm; za ździebełko zbyt lukrowane nutki Zygmunta Koniecznego i niezamierzona groteskowość paru scen. Za to mu się oberwie i pewnie za kilka innych „rodzynek” teatralnych. Wiem to, ale co poradzić? Jestem gdzie indziej.

Słyszałem szelest skór wolno stygnących starych kobiet. Gdy po kolei zniknęły z ławki, czułem swąd pleśni i octu. A w ostatniej minucie te same zmrożone mrówki przeszły mi po sercu. Było mi tak samo zimno, jak Verze. Objąłem się i bardzo mocno otwartymi oczami patrzyłem w puchnącą ciemność. Oto cała moja ocena.

Teatr Bagatela. Paula Vogel „Najstarsza profesja”. Reżyseria Janusz Szydlowski. Scenografia i kostiumy Zofia de Ines. Muzyka Zigmunt Konieczny. Reżyseria światła Piotr Treła.